

Po świetnym jeźdźcu został tuman kurzu...

Psy, mocno zdziwione, obchodziły pana i zaglądały mu do rąk.

Nie mogły zrozumieć, czemu po łowach na takiego grubego zwierza nie dostały ani skoków, ani jelit?

Ragis dysząc z gniewu, nie patrzył nawet na swych faworytów.

Spokój i cisza uciekły z zagrody. Pozostało nadzwyczaj przykre wrażenie; dołączyła się zewnętrzna przeszkoda.

Parobek od Wojnata zajrzał przez płot i rzekł zalekłym głosem:

— Gospodarz prosi pana Marka.

— Niema — odburknął Ragis.

— Oj, to co będzie? — zajączał chłop — on musić już prędko umrze!

— Wojnat? Cóż mu tam?

— Niewiedzieć co! Położył się i bardzo grzecznie gada. Musi to już mu koniec, panie!

— Powiedz, że jak Czertwan wróci, to go przyślę.

Parobek odszedł, ale wieść ta mocno podnieciła starego. Czego mógł chcieć wuj od wygnanego niegdyś siostrzeńca? Może naprawdę umiera?

Niedługo dumał spokojnie kaleka. Sądzo-
nem było, że zagroda Markowa będzie dnia tego celem pielgrzymki i hiobowych wieści.

Furtka skrzypnęła, na dziedziniec wszedł chłop niemłody, obielony mąką, postawy, pomimo lat, prostej i zdradzającej dawną żołnierkę.

O trzy kroki od Ragisa stanął w prawidłowej postawie szeregowca i milczał.

— A cóż tam kolego Juchno? — zagadnął były kapral, wąsa muskając.

— Z raportem od młyna przychodzę. — Dziś w nocy woda porwała koło.

— A gdzie ty byłeś, żeś nie odpilnował? Spaleś?

— A spalem. Panicz mi wyznaczył trzy godziny wypoczynku od północy. Jak się obudziłem, nie było koła. Poszedłem go szukać i znalazłem pod Grynizakami. Chłopi złowili. — Chcą wykupić!

— To dopiero facecya! Takie koło! Paręset rubli warte! A mówiłem ci Juchno: w młynie, jak na forpoczcie, Dubissa zawsze nad złem przemyśliwa. Zdradny to nieprzyjaciel! No, i zrobiła psotę.

— Aha! To klekotanie i hałas tak odurzy, że śpisz, jak zabity. Chłopi chcą teraz trzydziści rubli! Już jabym swymi zapłacił, ale odesłałem wnukowi do szkół, więc przyszedłem do panicza po ratunek...

— Ma się rozumieć! Do panicza po ratunek! Już on do tego tylko na świat się urodził. Ho, ho! to się wie! Każdy rad puchliznę z głowy jemu oddać. Jeszcze łają potem na podziękę. Wracajże stary, bo ci Dubissa i resztę zabierze. Panicza przyślę jutro rano.

Tu Ragis, jak arcykapłan wielce możnego boga, skinął łaskawie, dumny ze swego stanowiska — i rozsiadł się wygodniej.

— Cudowna Panienko — rzekł z westchnieniem, gdy się furtka za Juchną zamknęła — dzięki ci raz jeszcze, że tylko to drewnienko mam swoje na świecie! — Pokiwał głową i przerwał monolog nuceniem:

Kto pieniędzy niema, ten żyje szczęśliwy, I noc ma spokojną i dzień nietroskliwy!

— Marczyśko moje niby coś ma i cóż mu z tego? Spiesz, spiesz do tego jeziora, jak na gody do chaty! Aha, ma się rozumieć — będą mu gody! Witold, Wojnat, Juchno z kołem! Antyfona! Jeszcze mi przyjdzie, kilkoro tego przybędzie. Ot tobie pociecha obywatelska! Oh, moje ty drewnuszko pocziwe — z tobą niema kłopotu!

Uśmiechnięty starzec poklepał pieszczotliwie swą drewnianą nogę i wnet ucha nadstawił.

— Oho, wraca panna Aneta z muchami swojemi! Moje uszanowanie! Dostanę buziaka nie prosząc! To ci dopiero amatorstwo!

Turkot się zbliżał, Ragis wstał żywo i umknął do chaty.

Przez okienko wytknął głowę i parlamentował:

— A co? Udało się pannie Anecie?

— A jakże dobrodzieju, a jakże! Jak Grenis podkurzył, wyleciały nieboraczki. Poдалam im gałązkę jarzębiny i wnet opadły. Królowa siadła mi na rękę — ot mam ją tu, w klateczce!

— Dziękuję, dziękuję, nieciekawym! Zabierajcie to z podwórza! Hu, co ich lata! Aż mi ciarki chodzą po skórze!

— I nie wstyd to staremu żołnierzowi kryć się przed ukłóciem żądła? — zabrzmiał z nienacka obcy głos z przeciwnej strony, od łąk.

— A nie wstyd to wam, dziewczęta, trawę mi deptać? Ej! ograbię, ograbię! — odparł niezmierny, oglądając się z uśmiechem.

W głębi podwórza, za płotem ogródka warzywnego, stały dwie nierozłączne przyjaciółki i koleżanki: Julka Nerpalis i Hanka Czertwan.

Przyjaźń to była dawna, od dziecka i braterstwo ducha, pragnącego czynić i myśleć samodzielnie.

Julka ze swą trzeźwą, żywą naturą objęła od dawna pierwszeństwo i ster tej spółki. — Rok ciężkiej pracy i koleżeństwa zacieśnił węzły.

Zrównały się pracą, wytrwaniem zespoliły się prawie w jednostkę, uzupełniała jedna drugą.

Pozornie niepodobne były do siebie, chyba z ubioru.

Jedna śmiała, żywa, rozmowna, zawsze wesoła, o biegających oczach i mieniającej się co chwila twarzy, przedstawiała czyn i praktykę; druga blada, milcząca, z wieczną zadumą na czole i chmurą w wielkich, tęsknych oczach była obrazem myśli cichej, głębokiej a wielkiej.

Na wspomnienie zdeptanej łąki, przestrasz i zawstydzenie mignęło w źrenicach Hanki. — Nie znała się na żartach, słowo każde było dla niej świętą prawdą, co do litery.

Julka potrząsnęła wyzywająco swą kędzierzawą głową i odparła swobodnie:

— Niech pan ograbi pasterzy tej trzody, którą właśnie wypłoszyliśmy z łąki. Nam się należy za ten czyn honorowa wzmianka!

Panna Aneta z własnego doświadczenia pojęła panikę Hanki, co rychlej więc nadeszła z pomocą, powiesiwszy uwięziony rój na wiśni.

— Nie słuchajcie moje dzieciaczki. Jegośność żartuje! Chodźcież do nas! A jakież to ziółko u ciebie w ręku, Haneczko? Może na coś sposobne?

— Cynoglossum ciociu. Ma szerokie zastosowanie! — odparła dziewczę, całując serdecznie twardą dłoń starowiny.

— Może od reumatyzmu — zagadnął Ragis, podchodząc.

— Ej, nie. Na reumatyzm mikstury nic nie poradzą. Potrzebny klimat, sądzę — rzekła nieśmiało i bardzo cicho.

— Nie stawiaj dyagnozy, Hanko! Poczekaj cztery lata! — zaśmiała się Julka i zwracając się do gospodarza dodała:

— Pana Marka niema w domu?

— Co? I pani go potrzebuje? — zawołał Ragis.

— Naturalnie i to bardzo pilno. Stryj potrzebuje go do pomocy w sprawie jakiegoś ko-

ścielnego gruntu za rzeką, który mu dzierzawca - żyd chce odebrać. Prosi go bardzo do siebie na plebanię.

— Gdzie go nie proszą? Ale go niema... W Wilajkach na połowie siedzi już tydzień — może dziś wróci.

Hanka zawahała się nieco i wreszcie odezwała się z cicha:

— I jabym rada go zobaczyć. Tam w domu...

— Wiem, wiem — przerwał Ragis — miałem dziś honor rozmawiać z waszym milutkim dziedzicem. No, ziółko...

— Młodość, dobrodzieju, nierozwaga! — mitygowała jak zwykle, staruszka.

Panienci weszły tymczasem na podwórze i usiadły na ławce pod oknem.

Julka już rzuciła trzymaną książkę, Hanka pęk ziół i kwiatów, zdjęły kapelusze i zabierały znajomość z menażeryą Ragisa.

Panna Aneta wchodziła, to wychodziła z domu, mocno widocznie zafrasowana.

— Moje dziatki, czemu ja was ugoszczę? — wymówiła wreszcie swą wielką troskę, zalamując ręce desperacko.

Nim miały czas zaprotestować, skrzypnęła furtka i piękna żona Grala weszła na podwórze.

Biała chustka z lekka okrywała jej złoty włos, słońce opaliło nieco twarz, a strój zaścianka, barwny i dostatni, podnosił jeszcze urodę.

W jednym ręku trzymała spory kosz, liśćmi pokryty, drugą dłonią przysłoniła oczy i powitała całe towarzystwo wesołym uśmiechem.

— Dobrze po południu. Przyniosłam pannie Anecie poziomek z dąbrowy.

Błogość niebiańska rozmarszczyła stroskane oblicze, wnet jednak skrupił ją zamącił.

— Dziękuję wam Martusiu, dziękuję! Ale nie godzi się odbierać jagód! Zbierać ciężko! Może staraliście się dla męża?

— Jeszczeby co? Czy on się tam na zna na czemś dobrem — odąwszy usta odparła piękna kobieta.

Ragis zmrużył oczki filuternie i wąsiki nastroszył:

— Doprawdy? Na dobrem się nie zna? Ma się rozumieć! Cebula! Żle pani Łukaszowo, kiedy tak człowiek bez gustu, to zupełnie fe!

Kobieta zaśmiała się, aż błysnęły wszystkie zęby w koralowej oprawie. Koszyk postawiła na ławce i dodała:

— Czyja dąbrowa, tego jagody. Zbierałam z uciechą, bo przy święcie w chacie tak nudno, że i piec nie usiedzi.

— Wojnat podobno umiera? — przerwał Ragis.

Twarz Marty zmieniła się w mgnieniu oka.

Z uśmiechniętej stała się twardą i ponurą. Niedbale machnęła ręką.

— A niech umiera! — syknęła przez zęby.

— Marka dziś wołał — mruknął kaleka.

— Już wołał? Spróbował panowania w pustce! No zobaczy, czy tak łatwo sprowadzić jak wypędzić! Marek pewnie nie poszedł?

— Nie poszedł, bo go niema. Ale żeby był — to by nie odmówił choremu. I wam pani Łukaszowo przystoi tam zajrzeć...

— Żeby konał, to nie pójdę! Jak psa wypędził i Marka i mnie! Niech go teraz piec dogląda!

Zaskrzyły się jej oczy, poczerwieniały policzki. Z ładnej kobiety stała się megera. Ragis popatrzał, głową pokręcił i już milczał.

(Ciąg dalszy nastąpi)